

ERNEST HEMINGWAY

Pożegnanie z bronią

Przełożyła Martyna Tomczak

MARGINESY

A Farewell to Arms

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust / Hemingway
Copyright Owners

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Martyna Tomczak
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023



Księga pierwsza

U schyłku tamtego lata mieszkaliśmy w domu we wsi z widokiem na rzekę i równinę, i góry w oddali. W korycie rzeki bieleły wysuszone słońcem kamyki i głazy, a woda płynęła strumieniami, wartka i błękitna. Obok domu szły wojska, wzbijany przez nie pył oprószał liście drzew. Pnie też pokrywał pył, liście spadły wcześniej tego roku i widzieliśmy przemarsz wojsk i tumany pyłu, i drżące na wietrze, spadające liście, maszerujących żołnierzy, a potem pustą drogę, pobielaną, zaslaną tylko liśćmi.

Żyzną równinę porastały sady owocowe, a dalej było widać brunatne, nagie góry. W górach trwały walki, wieczorami widzieliśmy błyski strzałów artyleryjskich. W ciemności wyglądały jak letnie pioruny, choć noce były chłodne i nie czuło się nadchodzącej burzy.

Czasem nocą słyszeliśmy pod oknami maszerujące wojska i jadące za ciągnikami działa. Po zmroku na drodze był duży ruch: muły z amunicją w jukach po obu stronach siodła, szare ciężarówki z żołnierzami i te sunące wolniej, wyładowane sprzętem pod plandeką. W dzień za ciągnikami przejeżdżały ciężkie działa o długich lufach zasłoniętych zielonymi gałęziami, zielone, liściaste gałęzie i pnącza przykrywały także ciągniki. Na północy, za doliną, był las kasztanowy, a dalej

druga góra po tej stronie rzeki. O tę górę również toczyły się walki, ale bez sukcesów, a jesienią, kiedy przyszły deszcze, z kasztanowców opadły wszystkie liście i gałęzie były teraz nagie, pnie poczerniały od deszczu. Winnice też wyglądały łyso, огоłocone z liści, i wszędzie zrobiło się mokro, buro, jesienno i martwo. Nad rzeką wisiła mgła, zbocze przesłaniały chmury, ciężarówka chlapała błotem, a żołnierze szli drogą w pelerynach, ubłoceni i przemoknięci; pod pelerynami dźwigali mokre karabiny i przytroczone do pasków po dwie skórzane ładownice z magazynkami podłużnych, wąskich naboju kalibru sześć i pół milimetra, wybrzuszone się tak, że wyglądali jak w szóstym miesiącu ciąży.

Czasem drogą przejeżdżały bardzo szybko mniejsze, szare auta – zwykle z jednym oficerem przy kierowcy i kilkoma z tyłu. Chlapały błotem nawet mocniej niż ciężarówka, a jeśli jeden z oficerów był drobny i siedział między dwoma generałami, tak mały, że nie widać było jego twarzy, tylko wierzch czapki i wąskie plecy, a samochód pędził wyjątkowo szybko, to prawdopodobnie był to król. Król kwaterował w Udine i prawie codziennie wyjeżdżał zobaczyć, jak się sprawy mają, a miały się bardzo źle.

Z początkiem zimy przyszedł niekończący się deszcz, a wraz z deszczem przyszła cholera. Została jednak opanowana i ostatecznie zmarło na nią tylko siedem tysięcy żołnierzy.

Kolejny rok przyniósł wiele zwycięstw. Góra za doliną i zbocze z kasztanowym lasem zostały zdobyte, nasze wojska zwyciężały też na płaskowyżu za równiną na południu, a w sierpniu przekroczyliśmy rzekę i zamieszkaliśmy w Gorycji, w domu z fontanną i masą gęstych, dających cień drzew w okolonym murem ogrodzie, i z fioletową glicynią pnącą się po ścianie. Teraz walki toczyły się w górach półtora kilometra dalej. Miasteczko było bardzo przyjemne, a w domu bardzo dobrze się mieszkało. Rzeka została za nami, miasto zajęto elegancko i sprawnie, tylko góry nadal były niezdobyte, ja zaś cieszyłem się bardzo, że Austriacy chyba chcą tu wrócić, jak się wojna skończy, bo nie zrównali miasta z ziemią, zniszczyli tylko parę ważnych dla wojska obiektów. Ludzie żyli jak dawniej, były tu szpitale i kawiarnie, i działa w bocznych ulicach, i dwa burdele, jeden dla poborowych i jeden dla oficerów. To wszystko oraz chłodne wieczory, typowe dla końcówki lata, walki w górach nad miastem, wyszczerbione pociskami żelazo mostu kolejowego, zniszczony tunel nad rzeką w miejscu, gdzie przeszedł front, drzewa wokół rynku i prowadząca do niego długa aleja; to i jeszcze fakt, że w mieście były dziewczyny, że przejeżdżał tędy czasem król, drobny, długoszyi, z siwiejącą kozią bródką; i to, że czasem trafiało się z nagłą na odsłonięte wnętrze domu,

który w ostrzale stracił ścianę, na sterty tynku i gruzu w ogrodzie, a czasami także na ulicy; i jeszcze to, że na Carso sprawy szły po naszej myśli – no więc to wszystko razem sprawiało, że ta jesień była całkiem inna od poprzedniej. Wojna też się zmieniła.

Zniknął dębowy las na wzgórzu za miastem. Pierwszego lata był zielony, ale teraz zostały tylko kikuty pni, strzaskane drzewa i rozdarta ziemia, a pewnego dnia późną jesienią, stojąc tam, gdzie dawniej rosły dęby, ujrzałem chmurę nadciągającą znad gór. Płynęła szybko, słońce zrobiło się żółtawobłade, poszarzało, chmura zasnuła niebo, spłynęła w dół zbocza i nagle była wszędzie dookoła, i wszędzie padał śnieg. Śnieg zaczął na wietrze, przykrył gołą ziemię i sterczące kikuty drzew, leżał na działkach, a za okopami ciągnęły się wydeptane ścieżki do latryn.

Później, w miasteczku, patrzyłem na śnieg z burdelu dla oficerów, w którym siedzieliśmy z kumplem przy butelce asti, i widok spadających powoli ciężkich płatków podpowiedział nam, że na ten rok to koniec. Nie udało się zdobyć gór za rzeką ani żadnych innych gór po tamtej stronie. Wszystko musiało poczekać do przyszłego roku. Kumpel wypatrzył przez okno kapelana z naszej stołówki, stąpającego ostrożnie w śniegowej brei, i zabębnił ręką w szybę, by zwrócić jego uwagę. Ksiądz popatrzył w górę. Uśmiechnął się do nas. Kumpel gestem zaprosił go do środka, ale on pokręcił głową i odszedł. Tego wieczoru po spaghetti w stołówce, które jedliśmy w pośpiechu, mocno na tym skupieni, unosząc je na widelcu, a gdy pasma zawisły nad talerzem, opuszczając do ust, albo też rytmicznie unosząc i wysysając makaron, popijając go winem z gąsiora w koszyczku zawieszonoego w metalowej kołysce (gdy naciskało się szyjkę palcem wskazującym, gąsior się przechylał i do trzy-

manej tą samą ręką szklanki lało się wino, czerwone, garbnikowe, pyszne); no więc po tym, jak już wszyscy zjedli, kapitan zaczął znów dokuczać księdzu.

Kapelan był młody i często się rumienił, nosił mundur jak reszta, ale z ciemnoczerwonym aksamitnym krzyżem nad lewą kieszonką na piersi szarej kurtki. Kapitan, przez chybiomy wzgląd na mnie, mówił najprostszą włoszczyzną, żebym wszystko zrozumiał, żebym nie uronił ani słowa.

– A ksiądz to dziś z dziewczynami – powiedział, patrząc to na niego, to na mnie.

Kapelan zarumienił się i z uśmiechem pokręcił głową. Kapitan często mu dokuczał.

– Nieprawda? – zapytał teraz. – A ja dziś widziałem księdza z dziewczynami.

– Nie – powiedział kapelan.

Pozostałych oficerów bawiły te docinki.

– Ksiądz nie z dziewczynami – ciągnął kapitan. – Ksiądz z dziewczynami nigdy – objaśnił, zwracając się do mnie. Napełnił moją szklankę, patrząc mi w oczy, a jednocześnie obserwując kapelana. – Ksiądz co wieczór pięć na jednego.

Wszyscy przy stole wybuchieli śmiechem.

– Rozumiesz? Ksiądz co wieczór pięć na jednego. – Wykonał gest palcami i roześmiał się głośno.

Kapelan przyjął to z poczuciem humoru.

– Papież liczy, że Austria wygra wojnę – odezwał się major. – On kocha Franciszka Józefa. Stąd mają pieniądze. Ja jestem ateistą.

– Czytałeś *Czarną świnię*? – zapytał porucznik. – Załatwię ci egzemplarz. To było właśnie to, co zachwiało moją wiarą.

– Obrzydliwa, podła książka – powiedział kapelan. – Nie wierzę, że się panu podobała.

– Jest bardzo wartościowa – odrzekł porucznik. – Sporo się można z niej dowiedzieć o klerze. Spodoba ci się – zwrócił się do mnie.

Uśmiechnąłem się do kapelana w blasku świecy, a on odwzajemnił uśmiech.

– Niech jej pan nie czyta – powiedział.

– Dostaniesz swój egzemplarz – obiecał porucznik.

– Wszyscy myślący ludzie to ateści – oznajmił major. – Choć w masonerii nie wierzę.

– Ja wierzę – powiedział porucznik. – Bardzo szlachetna organizacja.

Ktoś wszedł do środka i przez szparę w drzwiach zobaczyłem padający śnieg.

– Skoro pada, to nie będzie ofensywy – stwierdziłem.

– Na pewno nie – przytaknął major. – Najlepiej jedź na urlop. Do Rzymu, Neapolu albo na Sycylię.

– Powinien odwiedzić Amalfi – wtrącił się porucznik. – Napiszę do moich krewnych. Pokochają cię jak syna.

– Niech jedzie do Palermo.

– Lepiej na Capri.

– Chciałbym, żeby zobaczył pan Abruzję i odwiedził moją rodzinę w Capracotcie – odezwał się kapelan.

– A ten znów o Abruzji. Tam jest jeszcze więcej śniegu niż tutaj. Zresztą on się nie chce spotykać z chłopstwem. Niech jedzie tam, gdzie są kultura i cywilizacja.

– I najlepsze dziewczyny. Dam ci parę adresów w Neapolu. Piękne dziewczyny i ich matki. Ha, ha, ha! – Kapitan otworzył dłoń, uniósł kciuk i rozcapierzył palce, jak w teatryku cieni. Na ścianę padł cień jego dłoni. Kapitan znów przeszedł na łamany włoski: – Wyjeżdżasz taki. – Wskazał na kciuk. – A wracasz, o, taki. – Dotknął małego palca.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Patrz. – Znow rozłożył dłoń i jej cień padł na ścianę w blasku świecy. Zaczął od uniesionego kciuka i nazywał po kolei wszystkie palce: – *Soto-tenente*. – Kciuk. – *Tenente*. – Wskazujący. – *Capitano*. – Środkowy. – *Maggiore*. – Serdeczny. – *Tenente-colonello*. – Mały palec. – Wyjeżdżasz jako *soto-tenente*! Wracasz jako *soto-colonello*!

Wszyscy się roześmiali. Jego żarty z palcami zawsze miały wielkie powodzenie. Teraz spojrzął na kapelana i zawołał:

– Książd co wieczór pięć na jednego!

I znow rozległ się gromki śmiech.

– Najlepiej jedź od razu – doradził mi major.

– Chętnie bym ci potowarzyszył i pokazał to i owo – dodał porucznik.

– Przywieź nam gramofon.

– I dobre opery.

– Przywieź Carusa.

– Nie, Carusa nie. On strasznie wyje.

– A ty nie chciałbyś tak wyc jak on?

– Mówię przecież, że wyje.

– Chciałbym, żeby pan odwiedził Abruzję – powiedział kapelan.

Cała reszta przekrzykiwała się nawzajem.

– Tam się świetnie poluje. Ludzie się panu spodobają, i faktycznie jest zimno, ale za to sucho i słonecznie. Mógłby się pan zatrzymać u mojej rodziny. Ojciec jest słynnym myśliwym.

– Chodź no – ponaglił mnie kapitan. – Chodź do burdelu, zanim zamkną.

– Dobranoc – powiedziałem do kapelana.

– Dobranoc – odpowiedział.

Kiedy wróciłem na front, kwaterowaliśmy nadal w tym samym miasteczku. W okolicy rozstawiono więcej dział i przysła wiosna. Pola były zielone, na winoroślach pojawiły się drobne pędy, a na drzewach wzdłuż drogi młode listki, i czuć było bryzę od morza. Patrzyłem na miasto, wzgórze i wtulony w nie stary zamek, i brunatne góry w oddali, porośnięte rzadką zielenią. W mieście stało więcej armat, było kilka nowych szpitali, na ulicach widywało się Brytyjczyków, a czasem i Brytyjki, oraz przybyło domów zniszczonych przez ogień artyleryjski. Było ciepło i wiosennie, siedłem zadrzewioną aleją wzdłuż nagrzanego słońcem muru, by się przekonać, że wciąż mieszkamy tam, gdzie kiedyś, a dom wygląda tak, jak przed moim wyjazdem. Drzwi były otwarte, na ławce w słońcu siedział jakiś żołnierz, przy bocznym wejściu czekał ambulans, a wszedłszy do środka, poczułem zapach marmurowej posadzki i szpitala. Wszystko tak, jak przed moim wyjazdem, tyle że była wiosna. W dużym pokoju zobaczyłem majora przy biurku i otwarte okno, przez które wpadało słońce. Major mnie nie spostrzegł, a ja rozważałem, czy się zameldować, czy pójść najpierw na górę i doprowadzić się do porządku. Postanowiłem iść na górę.

Pokój, który dzieliłem z porucznikiem Rinaldim, wychodził na dziedziniec. Okno było otwarte, łóżko przykryte kocem, a na kołku wisały moje rzeczy: maska gazowa w podłużnej blaszanej puszcze i stalowy hełm. W nogach łóżka stał kufer, na kufrze zimowe buty, skórzane, natłuszczone do połysku. Nad obydwojma łóżkami wisiał austriacki karabin wyborowy z granatową ośmiokątną lufą i piękną kolbą z ciemnego orzecha, dopasowaną kształtem do policzka. Przypomniałem sobie, że luneta jest w zamkniętym kufrze. Porucznik Rinaldi spał. Usłyszawszy mnie, obudził się i usiadł.

– *Ciaou!* – zawołał. – Jak było?

– Wspaniale.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on objął mnie za szyję i pocałował.

– Oj, no... – stęknąłem.

– Ależ jesteś brudny. Lepiej idź się umyć – powiedział. – Gdzie byłeś i co robiłeś? Opowiadaj zaraz.

– Wszędzie. W Mediolanie, Florencji, Neapolu, Villa San Giovanni, Mesynie, Taorminie...

– Gadasz, jakbyś czytał rozkład jazdy. Miałeś jakieś piękne przygody?

– Owszem.

– A gdzie?

– W Mediolanie, Florencji, Rzymie, Neapolu...

– Starczy. Powiedz raczej, która była najlepsza.

– Ta w Mediolanie.

– To dlatego, że pierwsza. Gdzie ją poznałeś? W Covie? Dokąd poszłście? Jak było? Opowiadaj. Zostałeś do rana?

– Tak.

– E, to nic. My tu teraz mamy prawdziwe piękności. Nowe dziewczyny, pierwszy raz na froncie.

– Cudownie.

– Nie wierzysz? Po południu pójdziemy zobaczyć. A w mieście są piękne Angielki. Ja się obecnie kocham w pannie Barkley. Wezmę cię do niej w odwiedziny. Pewnie się z nią ożenię.

– Muszę się umyć i zameldować. Czy tutaj nikt nie pracuje?

– Od twojego wyjazdu trafiają nam się głównie lżejsze i cięższe odmrożenia, żółtaczka, tryper, samookaleczenia, zapalenia płuc oraz miękkie i twarde szankry. Raz na tydzień ktoś dostaje odłamkiem skały. Jest też paru naprawdę rannych. W przyszłym tygodniu zaczyna się znów wojna. W każdym razie to możliwe. Tak mówią. Myślisz, że powinienem się ożenić z panną Barkley, oczywiście jak się wojna skończy?

– Koniecznie – odparłem i nalałem wody do miednicy.

– Wieczorem mi wszystko opowiesz – rzekł Rinaldi. – Teraz idę spać dalej, bo muszę być piękny i świeży dla panny Barkley.

Zdjąłem kurtkę i koszulę i umyłem się w zimnej wodzie w miednicy. Wycierając się, omiotłem wzrokiem pokój, widok za oknem i Rinaldiego, leżącego na łóżku z zamkniętymi oczami. Był przystojny, w moim wieku i pochodził z Amalfi. Kochał pracę chirurga, był moim przyjacielem. Nagle otworzył oczy.

– Masz jakieś pieniądze?

– Mam.

– Pożycz pięćdziesiąt lirów.

Wytarłem ręce i wyjąłem portfel z wiszącej na ścianie kurtki od munduru. Nie podnosząc się z łóżka, Rinaldi wziął banknot, złożył go i wsunął do kieszeni spodni. Uśmiechnął się.

– Muszę zrobić na pannie Barkley wrażenie człowieka mającego. A ty jesteś moim najwspanialszym przyjacielem oraz mecenasem.

– Idź do diabła – powiedziałem.

Tego wieczoru w stołówce usiadłem obok kapelana, zadowolonego i nie wiedzieć czemu urażonego tym, że nie odwiedziłem Abruzji. Specjalnie napisał w tej sprawie do ojca, wszyscy spodziewali się mojej wizyty. Było mi równie przykro jak jemu i sam nie rozumiałem, czemu ich nie odwiedziłem. Chciałem to przecież zrobić, próbowałem mu więc tłumaczyć, że tak po prostu wyszło, aż w końcu uwierzył i zrozumiał, i już prawie było między nami dobrze. Wypiłem sporo wina, potem kawę i stregę, i z tym winem szumiącym w głowie tłumaczyłem mu, jak to jest, że choć pragniemy coś zrobić, to tego nie robimy; że nigdy się nie udaje.

Pozostali o coś się kłócili, a my rozmawialiśmy. Chciałem pojechać do Abruzji. Nie pojechałem tam ani nigdzie indziej, gdzie drogi są zamrożone i twarde jak żelazo, powietrze czyste, zimne i suche, śnieg suchy i sypki, a na śniegu ślady zajęcy, gdzie chłopci ściągają czapki i mówią ci „jaśnie panie”, i gdzie świetnie się poluje. Nie pojechałem w żadne takie miejsce, lecz tam, gdzie dym i kawiarnie i nocą pokój wiruje i musisz spojrzeć w ścianę żeby go zatrzymać, pijane noce w łóżku kiedy wiesz że nie ma nic więcej i to dziwne podniecenie gdy się budzisz nie wiedząc kto leży obok, a świat jest tak nierzeczywisty pogrążony w ciemności i tak ekscytujący że na powrót rzucasz się w noc, i znów nie wiesz nic i o nic nie dbasz, pewny że prócz tego nie ma nic, nic a nic, i nic cię nie obchodzi. I nagle cię zaczyna obchodzić zasypiasz i czasem budzisz się z tym rano i to wszystko co było, tego już nie ma, i wszystko jest ostre twarde wyraźne i czasem trzeba kłócić się o cenę. A czasami wciąż jest miło i czule i ciepło i jest śniadanie i obiad. Albo czar pryska i z ulgą wychodzisz na ulicę, ale zawsze jest kolejny dzień, a potem noc. Próbowałem opowiedzieć o tych nocach i o różnicy między dniem a nocą, i o tym, że noc jest

lepszą, chyba że dzień jest czysty i chłodny, i nie umiałem tego opowiedzieć, tak jak teraz nie umiem. Ale ktoś, kto to przeżył, wie. On tego nie przeżył, lecz rozumiał, że naprawdę chciałem jechać do Abruzji, choć nie pojechałem, i wciąż byliśmy przyjaciółmi, których łączyło wiele wspólnych upodobań, ale dzieliła ta różnica. On zawsze wiedział to, czego ja nie wiedziałem, a nawet jeśli wiedziałem, zawsze potrafiłem zapomnieć. Ale wtedy nie byłem tego świadom, chociaż później to do mnie dotarło. Tymczasem siedzieliśmy wszyscy razem w stołówce, posiłek dobiegł końca, a kłótnia trwała dalej. My dwaj przerwaliśmy rozmowę, a kapitan zawołał:

– Ksiądz smutny! Bo nie ma dziewczyn.

– Ależ jestem wesoły – powiedział kapelan.

– Ksiądz smutny. Ksiądz by chciał, żeby Austria wygrała wojnę – oznajmił kapitan.

Pozostali słuchali. Kapelan pokręcił głową.

– Nie – powiedział.

– Ksiądz by chciał, żebyśmy nie atakowali? Nie chce ksiądz czasem, żebyśmy nie atakowali?

– Nie. Skoro jest wojna, to musimy atakować, tak sędzę.

– Musimy! I tak zrobimy!

Kapelan pokiwał głową.

– Zostaw go, on jest w porządku – powiedział major.

– I tak nic by nie wskórał – rzekł kapitan.

Wszyscy wstaliśmy i odeszliśmy od stołu.

Następnego ranka obudził mnie gwar baterii w sąsiednim ogrodzie; zobaczyłem, że przez okno wpada słońce, i wstałem. Wyjrzałem na zewnątrz. Żwirowe ścieżki były wilgotne, a trawa mokra od rosy. Działa wypaliły dwa razy i za każdym wystrzałem uderzył we mnie podmuch, który zatrzęsł oknem i rozwiął mi poły piżamy. Nie widziałem armat, ale najwyraźniej strzelały bezpośrednio nad nami. Denerwowało mnie, że tam stoją, ale też cieszyłem się, że nie są większe. Patrzyłem na ogród, gdy nagle z ulicy dobiegł hałas odpalanego silnika. Ubrałem się, zszedłem do kuchni, napiłem się kawy i wyszedłem do garażu.

Pod długą wiatą stało w szeregu dziesięć samochodów. Były to masywne, tęponose ambulansy, pomalowane na szaro, kształtem przypominające wozy meblowe. Przy jeszcze jednym, stojącym na podwórzu, pracowali akurat mechanicy. Trzy inne były w górach, w punktach opatrunkowych.

– Strzela ktoś w ogóle czasem do tamtej baterii? – zapytałem jednego z mechaników.

– Nie, *signor tenente*. Osłania ją tamten pagórek.

– A jak leci?

– Nie najgorzej. Ta tutaj maszyna jest do niczego, ale reszta na chodzie. – Oderwał się od pracy i uśmiechnął. – Był pan na urlopie?

– Byłem.

Wytarł ręce w sweter i wyszczerzył się jeszcze bardziej.

– Dobrze się pan bawił?

Pozostali też się uśmiechnęli.

– Całkiem niezłe – odparłem. – Co z tą maszyną?

– To już kupa złomu. Wiecznie coś w niej siada.

– A teraz?

– Potrzebne są nowe pierścienie.

Zostawiłem ich nad samochodem, który wyglądał załóżnie i pusto z otwartą maską i częściami rozłożonymi na stole warsztatowym, wszedłem pod wiatę i obejrzałem kolejno pozostałe wozy. Były względnie czyste – kilka świeżo po myciu, kilka przykurzonych. Uważnie przyjrzałem się oponom, szukając rozcięć i wgnieceń po kamieniach. Zdawało się, że wszystkie są w dobrym stanie. Najwyraźniej to, czy jestem na miejscu i wszystkiego doglądam, nie miało znaczenia. Dotąd wyobrażałem sobie, że stan samochodów, pozyskiwanie części, sprawny przebieg transportu rannych i chorych z punktów opatrunkowych, zwożenie ich z gór i rozsyłanie do przypisanych im w papierach szpitali, że to wszystko w znacznym stopniu zależy ode mnie. Wyglądało jednak na to, że moja obecność nie jest szczególnie istotna.

– Mielicie kłopot ze zdobyciem części? – zapytałem sierżanta mechanika.

– Nie, *signor tenente*.

– Gdzie jest teraz skład paliwa?

– Tam gdzie zawsze.

– Dobrze – powiedziałem, wróciłem do domu i w stołówce wypłem jeszcze jeden kubek kawy. Była bura i słodka od skondensowanego mleka.

Na zewnątrz był piękny wiosenny poranek. Zrobiło mi się sucho w nosie, co zwiastowało upał. Tego dnia odwiedziłem posterunki w górach i wróciłem do miasta późnym popołudniem.

Zdawało się, że pod moją nieobecność wszystko działało lepiej. Zaplanowano kolejną ofensywę. Dywizja, do której nas przydzielono, miała zaatakować odcinek w górnym biegu rzeki i major powiedział mi, że podczas akcji będę nadzorował tamtejsze posterunki. Natarcie miało przejść przez rzekę powyżej wąskiego wąwozu i rozwinąć się na wzgórzach. Stanowiska samochodów muszą być tak blisko rzeki, jak to tylko możliwe bez ujawniania się. Oczywiście miała je wybrać piechota, ale naszym zadaniem było wszystko jak najlepiej obmyślić. Takie rzeczy dawały człowiekowi złudne poczucie bycia prawdziwym żołnierzem.

Ubrudzony i cały w kurzu poszedłem do pokoju się umyć. Rinaldi siedział na łóżku z podręcznikiem do gramatyki angielskiej. Miał na sobie mundur i czarne buty, włosy mu lśniły.

– Doskonale – powiedział na mój widok. – Pójdiesz teraz ze mną odwiedzić pannę Barkley.

– Nie.

– Owszem. Pójdiesz łaskawie i zrobisz na niej dobre wrażenie.

– W porządku. Tylko się doprowadzę do ładu.

– Umyj się i chodź tak, jak jesteś.

Umyłem się, uczesałem i ruszyliśmy do drzwi.

– Moment – powiedział Rinaldi. – Może się napijmy. – Otworzył swój kufer i wyciągnął butelkę.

– Byle nie strega – zaprotestowałem.

– Nie. To grappa.

– W porządku.

Napełnił dwie szklanki i się stuknęliśmy, wyciągając palce wskazujące. Grappa była bardzo mocna.

– Jeszcze po jednym?

– W porządku.

Wypiliśmy po drugiej szklaneczce, Rinaldi schował butelkę i zesłaliśmy na dół.

Na ulicy wciąż panował upał, ale słońce powoli zachodziło i robiło się przyjemnie. Brytyjski szpital mieścił się w dużej willi zbudowanej przed wojną przez Niemców. Panna Barkley była w ogrodzie. Towarzyszyła jej druga sanitariuszka. Dostrzegliśmy wśród drzew ich białe fartuchy i ruszyliśmy w tamtą stronę. Rinaldi zasalutował. Ja też, ale bardziej powściągliwie.

– Dobry wieczór – powiedziała panna Barkley. – Pan nie jest Włochem, prawda?

– O nie.

Rinaldi rozmawiał z drugą sanitariuszką. Roześmiali się oboje.

– Jakie to dziwne, służyć we włoskiej armii.

– Właściwie nie służę w armii. Jeżdżę ambulansem.

– Ale to jednak bardzo dziwne. Dlaczego pan to robi?

– Sam nie wiem – odrzekłem. – Nie wszystko zawsze da się wyjaśnić.

– Doprawdy? Mnie od dziecka uczono, że wszystko.

– A to bardzo ładnie.

– Musimy koniecznie rozmawiać w ten sposób?

– Nie musimy.

– No to duża ulga. Prawda?

– Co to za laseczka? – zapytałem.

Panna Barkley była wysoka. Ubrana, jak mi się wydało, w przepisowy strój sanitariuszki, miała jasne włosy, smagłą cerę i szare oczy. Pomyślałem, że jest bardzo piękna. W rękę trzymała cienką rattanową trzcinkę obciążoną skórą. Przypominało to dziecięcą szpicrutkę.

– Należała do pewnego chłopca, który zginął w zeszłym roku.

– Okropnie mi przykro.

– Bardzo był miły. Miał się ze mną ożenić, ale zabili go nad Sommą.

– Tam było potwornie.

– Pan tam był?

– Nie.

– Słyszałam, co się tam działo – powiedziała panna Barkley. – Tu nie ma takiej wojny. Przysłali mi tę trzcinkę. Jego matka przysłała. Dostała ją z resztą jego rzeczy.

– Długo byliście zaręczeni?

– Osiem lat. Wychowaliśmy się razem.

– I dlaczego się nie pobraliście?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Byłam głupia. Przecież mogłam ustąpić. Ale uważałam, że to by nie było dla niego dobre.

– Rozumiem.

– Pan kogoś kiedyś kochał?

– Nie.

Usiedliśmy na ławce. Spojrzałem na nią.

– Ma pani piękne włosy.

– Podobają się panu?

– Bardzo.

– Kiedy zginął, miałam je obciąć.

– Nie.

– Chciałam coś dla niego zrobić. Bo widzi pan, mnie tamto było obojętne, a on by dostał wszystko. Wszystko, czego pragnął, gdybym tylko wiedziała. Wyszłabym za niego, czy co tam jeszcze. Teraz to rozumiem. Ale wtedy nic nie wiedziałam, a on chciał iść na wojnę.

Milczałam.

– Nic wtedy nie pojmowałam. Myślałam, że dla niego tak będzie gorzej. Że nie będzie umiał tego znieść, a potem oczywiście zginął, i po wszystkim, koniec.

– Tego nie wiemy.

– O tak. To koniec – powiedziała.

Spojrzeliliśmy na Rinaldiego, który rozmawiał z drugą sanitariuszką.

– Jak ona się nazywa?

– Ferguson. Helen Ferguson. Pański kolega jest lekarzem, prawda?

– Tak. Bardzo dobrym.

– Wspaniale. Tak blisko frontu rzadko się zdarza lekarz, który by się do czegoś nadawał. Bo jesteśmy blisko frontu, prawda?

– Dosyc.

– To jest mało poważny front. Ale za to bardzo piękny – powiedziała. – Będzie ofensywa?

– Tak.

– W takim razie trzeba będzie pracować. Teraz nie ma nic do roboty.

– Długo jest pani sanitariuszką?

– Od końcówki piętnastego roku. Zaczęłam w tym czasie, co on. Pamiętam, jak mi się wtedy ubzdurało, że go przywiozł do mojego szpitala. Na przykład z raną od szabli i z bandażem

na głowie. Albo z przestrzelonym barkiem. Wyobrażałam sobie coś malowniczego.

– Nasz front jest malowniczy – powiedziałem.

– Prawda – przyznała. – Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak to wygląda we Francji. Inaczej to nie mogłoby trwać. On nie miał rany od szabli. Rozerwało go na kawałki.

Milczałem.

– Myśli pan, że już zawsze będzie wojna?

– Nie.

– A co by się miało stać?

– Gdzieś coś pęknie.

– To my pękniemy. We Francji. Nie można robić dalej takich rzeczy jak nad Sommą i nie pęknąć.

– Tu nie pękną – powiedziałem.

– Tak pan myśli?

– Tak. Zeszłego lata świetnie sobie radzili.

– A jednak mogą pęknąć – stwierdziła. – Każdy może pęknąć.

– Niemcy też.

– Nie. Nie wydaje mi się.

Podeszliśmy do Rinaldiego i panny Ferguson.

– Pani kocha Włochy? – spytał Rinaldi po angielsku.

– Dostyc.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową.

– *Abbanza bene* – przetłumaczyłem.

Rinaldi znów pokręcił głową.

– Niedobrze. Pani kocha Anglię?

– Nie za bardzo. Bo, widzi pan, jestem Szkotką.

Rinaldi spojrział na mnie tępym wzrokiem.

– Jest Szkotką, zatem kocha Szkocję bardziej niż Anglię – wyjaśniłem mu po włosku.

– Ale Szkocja to jest Anglia.

Przetłumaczyłem jego słowa pannie Ferguson.

– *Pas encore* – powiedziała.

– Niezupełnie?

– Wcale. My nie lubimy Anglików.

– Pani nie lubi Anglików? Nie lubi pannę Barkley?

– O, to co innego. Proszę nie brać wszystkiego tak dosłownie.

Niedługo potem się pożegnaliśmy i wyszliśmy. W drodze do domu Rinaldi stwierdził:

– Panna Barkley woli ciebie ode mnie. To od razu widać.

Ale ta mała Szkotka jest całkiem przyjemna.

– Całkiem – powiedziałem. W ogóle nie zwróciłem na nią uwagi. – A co, podoba ci się?

– Nie – odrzekł Rinaldi.

Następnego popołudnia znów wybrałem się do panny Barkley. Nie zastałem jej w ogrodzie, więc podszedłem do bocznych drzwi willi, tam gdzie podjeżdżały ambulansy. Wewnątrz spotkałem przełożoną sanitariuszek, która powiedziała mi, że panna Barkley jest na służbie.

– Pamięta pan, że trwa wojna?

Zapewniłem ją, że pamiętam.

– Czy to pan jest tym Amerykaninem, który służy we włoskiej armii? – zapytała.

– Owszem, ja.

– Jak to się stało? Czemu nie zaciągnął się pan do nas?

– Nie wiem. A jeszcze można?

– Obawiam się, że nie. Ale proszę powiedzieć, czemu się pan przyłączył do Włochów?

– Byłem akurat we Włoszech. No i mówię po włosku.

– O – powiedziała. – A ja się właśnie uczę. To bardzo piękny język.

– Podobno można go opanować w dwa tygodnie.

– Na pewno nie w dwa tygodnie. Ja się uczę od miesięcy. Jak pan chce, może ją pan odwiedzić po siódmej. Będzie już wtedy wolna. Byle nam pan tu nie sprowadził całej gromady Włochów.

- Nawet dla ich pięknego języka?
- Nawet dla ich pięknych mundurów.
- Do widzenia - powiedziałem.
- *A rivederci, tenente.*
- *A rivederla.*

Zasalutowałem i wyszedłem. Nie umiałem salutować cudzoziemcom na włoski sposób bez uczucia zażenowania. Zawsze miałem wrażenie, że włoski salut nie nadaje się na eksport.

Dzień był upalny. Wcześniej pojechałem w górę rzeki, do przyczółku koło Plawy. Tam się miała zacząć ofensywa. W zeszłym roku nie można się było posunąć naprzód z drugiej strony, bo z przełęczy do mostu pontonowego prowadziła tylko jedna droga, przez półtora kilometra pod ostrzałem broni maszynowej i artylerii. Do tego nie była dość szeroka, żeby się nią przedostać ze sprzętem, i Austriacy mogliby go rozwalić w drzazgi. Ale Włosi się przeprawili i rozstawili nieco dalej, zajmując mniej więcej półtorakilometrowy odcinek po austriackiej stronie rzeki. Miejsce było paskudne i Austriacy nie powinni byli na to pozwolić. Pewnie był to wynik obustronnej tolerancji, bo to oni zatrzymali przyczółek w dole rzeki. Ich okopy znajdowały się powyżej, na zboczu, zaledwie kilka metrów od linii włoskich. Kiedyś było tam miasteczko, ale teraz leżało w gruzach. Zostały tylko resztki stacji kolejowej i pogruchotany most, nie do naprawienia, bo był na widoku.

Pojechałem wąską drogą w stronę rzeki, zostawiłem samochód w punkcie opatrunkowym pod wzgórzem, przeszedłem przez most pontonowy osłonięty grzbietem górskim i zszedłem do okopów ciągnących się przez zrujnowane miasteczko i dalej, wzdłuż skraju zbocza. Wszyscy siedzieli w ziemiankach. Na stojakach czekały rakiety służące do wzywania artylerii lub

do sygnalizacji, w razie gdyby przecięto linie telefoniczne. Było cicho, gorąco i brudno. Spojrzałem przez zasieki z drutu na linie austriackie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. W jednej z ziemianek napiłem się ze znajomym kapitanem i wróciłem przez most.

Kończyła się właśnie budowa nowej, szerokiej drogi, biegnącej przez górę i zygzakiem do mostu. Po jej ukończeniu miała ruszyć ofensywa. Droga schodziła przez las seria ostrych zakrętów. Plan był taki, by wozić nią sprzęt, a puste ciężarówki, wozy konne, zapelnione ambulansy i cały ruch powrotny puszczać starą, wąską drogą. Punkt opatrunkowy był po austriackiej stronie rzeki, u stóp wzgórza, i noszowi mieli dźwigać rannych przez most pontonowy. Tak samo by to wyglądało po rozpoczęciu ofensywy. O ile się mogłem zorientować, ostatnie półtora kilometra drogi, tam gdzie robiła się płaska, znalazłoby się pod regularnym ostrzałem Austriaków. Wyglądało na to, że mogli tu urządzić niezłą jatkę. Udało mi się jednak znaleźć miejsce, w którym samochody mogłyby się schronić za tym ostatnim groźnym odcinkiem i poczekać, aż przeniosą rannych przez most pontonowy. Chętnie przejechałbym się nową drogą, ale była jeszcze nieskończona. Wyglądała na szeroką i porządną, z dobrym nachyleniem, a widoczne w prześwitach lasu zakręty robiły spore wrażenie. Samochody miały dość dobre hamulce, żeby dać im radę, a zresztą z góry zjeżdżałyby przecież nieobciążone. Ruszyłem z powrotem wąską drogą.

Dwóch karabinierów zatrzymało samochód. Na drogę spadł pocisk, a kiedy czekaliśmy, spadły jeszcze trzy następne. To były siedemdziesiątki siódemki, nadleciały ze świszczącym pędem powietrza, eksplodowały jasnym błyskiem, po czym drogę zasnuł szary dym. Karabinierzy machnęli na znak, że

mamy jechać. Mijając miejsce, w którym wylądowały pociski, uważałem na pęknięcia i czułem smród materiału wybuchowego, woń rozerwanej gliny i skały, i pokruszonego krzemienia. Wróciłem do Gorycji i naszej willi, po czym, jak już wspominałem, poszedłem odwiedzić pannę Barkley, która właśnie była na służbie.

W stołówce jadłem bardzo szybko, a po kolacji ruszyłem do willi, w której mieścił się brytyjski szpital. To była duża, piękna willa otoczona wspaniałymi drzewami. Panna Barkley siedziała na ławce w ogrodzie. Była z nią panna Ferguson. Chyba się ucieszyły, że mnie widzą. Po niedługiej chwili panna Ferguson przeprosiła i sobie poszła.

– Zostawię was – powiedziała. – Świetnie się beze mnie dogadujecie.

– Nie idź, Helen – poprosiła panna Barkley.

– Naprawdę wolałabym pójść. Mam do napisania kilka listów.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc, panie Henry.

– Tylko niech pani nie drażni cenzora.

– Bez obaw. Piszę jedynie o tym, jak tu pięknie i jacy dzielni są Włosi.

– Za coś takiego jeszcze dadzą pani medal.

– Byłoby miło. Dobranoc, Catherine.

– Do zobaczenia niedługo – powiedziała panna Barkley.

Panna Ferguson zniknęła w ciemnościach.

– Miła osoba – stwierdziłem.

– O tak, bardzo. Jest sanitariuszką.

– A pani nie?

– Nie, nie. Ja jestem ochotniczką, czyli VAD. Pracujemy ciężko, ale nikt nam nie ufa.

– Dlaczego?

– Nie ufają nam, póki nic się nie dzieje. Jak się robi gorąco, wtedy tak.

– Ale czym się różnicie?

– Sanitariuszka jest jak lekarz. Trzeba dużo czasu, żeby nią zostać. A oddziały ochotnicze to droga na skróty.

– Rozumiem.

– Włosi nie chcieli kobiet tak blisko frontu. Więc musimy się tu bardzo pilnować. Nie wychodzimy do miasta.

– Ale ja mogę przychodzić tutaj.

– Oczywiście. To nie klasztor.

– Zostawmy już wojnę.

– Trudna sprawa. Nie ma gdzie jej zostawić.

– Mimo to ją zostawmy.

– W porządku.

Spojrzeliliśmy na siebie w ciemności. Pomyślałem, że jest bardzo piękna, i wziąłem ją za rękę. Pozwoliła mi, więc ją przytrzymałem, a potem objąłem w pól.

– Nie – powiedziała.

Nie cofnąłem się.

– Dlaczego?

– Nie.

– Tak – powiedziałem. – Proszę.

Nachyliłem się, żeby ją pocałować, gdy nagle coś trzasnęło i zapiekło. Uderzyła mnie mocno w twarz. Trafiła w nos i oczy, aż zaraz napełniły się łzami.

– Przepraszam – powiedziała.

Poczułem, że mam pewną przewagę.

– Słusznie pani zrobiła.

– Naprawdę okropnie mi przykro. Po prostu nie mogłam znieść myśli, że ktoś mnie weźmie za typową pielęgniarcz-

kę po godzinach. Nie chciałam zadać panu bólu. Boli pana, prawda?

Patrzyła na mnie w półmroku. Byłem zły, ale jednocześnie pewny siebie i przewidywałem każdy ruch jak w partii szachów.

– Bardzo dobrze pani zrobiła – powtórzyłem. – Wcale nie mam żalu.

– Biedaczek.

– Widzi pani, ostatnio moje życie jakoś stoi na głowie. Na dodatek w ogóle nie rozmawiam po angielsku. A pani jest taka piękna. – Popatrzyłem na nią.

– Niepotrzebnie pan gada takie bzdury. Powiedziałam, że mi przykro. Wszystko jest w porządku.

– Tak. I nie mówimy o wojnie.

Roześmiała się. Po raz pierwszy usłyszałem jej śmiech. Patrzyłem na nią z bliska.

– Jest pan uroczy – powiedziała.

– Nieprawda.

– Prawda. Kochany z pana chłopak. Chętnie bym pana pocałowała, jeśli można.

Spojrzałem jej w oczy i objąłem ją jak wcześniej, a potem zacząłem całować. Całowałem ją mocno, przyciskając do siebie, usiłując rozchylić jej wargi – były szczelnie zamknięte. Nadal byłem zły, a ona nagle zadrżała w moich objęciach. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie, czułem, jak bije jej serce, zaciśnięte wargi ustąpiły, aż nagle cofnęła głowę i już chwilę później płakała na moim ramieniu.

– Kochany. Będziesz dla mnie dobry, prawda?

Co mi tam, pomyślałem. Pogłaskałem ją po włosach i poklepałem po ramieniu. Płakała dalej.

– Będziesz dobry, prawda? – Popatrzyła na mnie. – Bo będziemy mieli dziwne życie.

Niedługo później odprowadziłem ją do willi, a gdy weszła do środka, wróciłem do domu. Poszedłem na górę, do sypialni. Rinaldi leżał na łóżku. Spojrzał na mnie.

- Robisz postępy z panną Barkley?

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Masz tę przyjemną aurę nagrzanego psa.

Nie zrozumiałem.

- Aurę czego?

Wytłumaczył mi.

- A ty masz aurę psa, który...

- Dość. Bo zaczniemy się obrażać – powiedział z uśmiechem.

- Dobranoc – powiedziałem.

- Dobranoc, szczeniátko.

Rzuciłem poduszką w jego świecę i po ciemku położyłem się do łóżka.

Rinaldi podniósł świecę, zapalił ją i znów się zabrał do czytania.

Dwa dni spędziłem w terenie. Kiedy dotarłem do domu, było późno, więc odwiedziłem pannę Barkley następnego wieczoru. Nie było jej w ogrodzie, musiałem poczekać w szpitalnej kancelarii, aż zejdzie na dół. Wzdłuż ścian, na pomalowanych drewnianych postumentach, stały marmurowe popiersia. Korytarz, na który wychodziła kancelaria, też był nimi obstawiony. Jak na marmur przystało, wszystkie wyglądały tak samo. Rzeźby zawsze wydawały mi się nudne – ale te z brązu chociaż coś przypominały. Marmur przypominał tylko cmentarz. Był jeden wspaniały cmentarz, ten w Pizie. A żeby zobaczyć kiepskie marmury, można było jechać do Genui. Willa, w której mieścił się szpital, należała kiedyś do bardzo bogatego Niemca i te popiersia musiały go kosztować fortunę. Zastanawiałem się, kto je wyrzeźbił i ile za nie dostał. Próbowałem zgadnąć, czy przedstawiają członków rodziny, ale wszystkie powielają ten sam klasyczny wzór. Nic się nie dało o nich powiedzieć.

Usiadłem na krześle z czapką w rękach. Nawet w Gorycji musieliśmy nosić stalowe hełmy, były jednak niewygodne i ostentacyjne jak cholera w mieście, z którego nie ewakuowano cywilów. Kiedy jeździliśmy w teren, brałem hełm i angielską maskę gazową. Właśnie zaczęli nam je przysyłać. To były maski z prawdziwego zdarzenia. Musieliśmy też nosić przy sobie

pistolety automatyczne – wszyscy, nawet lekarze i oficerowie sanitarni. Czułem, jak mój mnie uwiera, przyciśnięty do oparcia krzesła. Za jego brak w widocznym miejscu groził areszt. Rinaldi nosił kaburę wypchaną papierem toaletowym. Ja chodziłem z prawdziwym pistoletem i czułem się jak wyszkolony zabójca, dopóki go nie wypróbowałem. To była astra z krótką lufą, kaliber siedem sześćdziesiąt pięć, i kiedy wystrzeliłem, tak mną targnęło, że nie było mowy o trafieniu w cokolwiek. Ćwiczyłem, mierząc poniżej celu i próbując zapanować nad szarpnięciami nedorzecznie krótkiej lufy, aż nauczyłem się trafiać z dwudziestu kroków w zasięgu metra od celu. Wtedy dotarł do mnie w pełni idiotyzm noszenia broni i wkrótce zapomniałem o pistolecie, który obijał mi się o krzyż, nie wywołując żadnych emocji poza niejasnym poczuciem wstydu, kiedy spotykałem ludzi mówiących po angielsku. Teraz siedziałem na krześle, ordynans łypał na mnie niechętnie zza biurka, a ja patrzyłem na marmurową posadzkę, postumenty z marmurowymi popiersiami i freski na ścianie i czekałem na pannę Barkley. Freski były całkiem niezłe. Zresztą każdy fresk wygląda dobrze, kiedy farba zaczyna się łuszczyć.

Na widok nadchodzącej Catherine Barkley wstałem. Kiedy szła w moją stronę, wydawała się niewysoka, ale i tak wyglądała ślicznie.

– Dobry wieczór panu – powiedziała.

– Dobry wieczór pani.

Ordynans przysłuchiwał nam się zza biurka.

– Usiądziemy tu czy wyjdziemy do ogrodu?

– Wyjdźmy. Tam jest dużo chłodniej.

Wyszliśmy, ona pierwsza, a ja za nią, odprowadzani wzrokiem ordynansa. Gdy znaleźliśmy się na zwirowym podjeździe, zapytała:

– Gdzie byłeś?

– Na posterunkach.

– Nie mogłeś przesłać wiadomości?

– Nie. To znaczy nie bardzo. Myślałem, że wrócę.

– Powinieneś był mnie zawiadomić, kochany.

Zeszliśmy z podjazdu i spacerowaliśmy między drzewami.

Ująłem jej dłoń, przystanąłem i ją pocałowałem.

– Nie moglibyśmy gdzieś pójść?

– Nie ma dokąd – odparła. – Pozostaje nam spacer tutaj.

Długo cię nie było.

– Niecałe trzy dni. Ale już jestem z powrotem.

Popatrzyła na mnie.

– I kochasz mnie?

– Tak.

– Powiedziałeś, że mnie kochasz, prawda?

– Tak. Kocham cię – skłamałem. Nigdy wcześniej tego nie mówiłem.

– I będziesz do mnie mówił Catherine?

– Catherine.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i stanęliśmy pod drzewem.

– Powiedz: „Jest noc, a ja wróciłem do Catherine”.

– Jest noc, a ja wróciłem do Catherine.

– Bo wróciłeś, kochany, prawda?

– Tak.

– Tak cię kocham, to było okropne. Nie zostawisz mnie, prawda?

– Nie. Zawsze będę wracał.

– Tak cię kocham. Połóż tam jeszcze raz rękę.

– Wcale jej nie ruszałem.

Obróciłem ją do siebie i zobaczyłem, że ma zamknięte oczy. Pocałowałem je. Pomyślałem, że pewnie jest trochę szalona.

Nie przeszkadzało mi to. Nie obchodziło mnie, w co się pakuję. To było lepsze, niż chodzić co wieczór do burdelu dla oficerów, gdzie dziewczyny obsiadały cię i pomiędzy jedną a drugą wycieczką na piętro z braćmi oficerami przekręcały ci czapkę do tyłu na znak czułości. Wiedziałem, że nie kocham Catherine Barkley, i nie miałem pojęcia, jak by to było ją kochać. To była gra, coś jak brydż, tyle że zamiast kart używało się słów. Jak w brydżu, trzeba było udawać, że gra się o pieniądze albo inną dużą stawkę. Żadne z nas nie wspomniało, jaka to stawka. Nie przeszkadzało mi to.

- Szkoda, że nie możemy gdzieś pójść - powiedziałem. Doświadczałem typowego dla mężczyzn kłopotu ze zbyt długimi zalotami na stojąco.

- Nie ma dokąd - powiedziała Catherine. Otrząsnęła się z jakichś myśli.

- To posiedźmy tu chwilę.

Usiedliśmy na kamiennej ławce, a ja wziąłem Catherine Barkley za rękę. Nie pozwoliła się objąć.

- Bardzo jesteś zmęczony? - zapytała.

- Nie bardzo.

Opuściła wzrok.

- To jest parszywa gra, nie sądzisz?

- Jaka gra?

- Daj spokój, to naprawdę nudne.

- Wcale nie chciałem cię zanudzać.

- Miły z ciebie chłopak. I grasz najlepiej, jak potrafisz. Ale sama gra jest parszywa.

- Czy ty zawsze czytasz w cudzych myślach?

- Nie zawsze. Ale w twoich tak. Nie musisz udawać, że mnie kochasz. Skończmy już na dzisiaj. Chcesz o czymś porozmawiać?

– Ale ja cię naprawdę kocham.

– Proszę, nie okłamujmy się, jeśli to nie jest konieczne. Odstawiłam swój teatrzyk, ale już mi lepiej. Widzisz, że nie oszalałam ani nie jestem wariatką. Tylko troszkę, czasami.

Ścisnąłem jej dłoń.

– Kochana Catherine.

– Śmiesznie to teraz brzmi: Catherine. Ty to jakoś inaczej wymawiasz. Ale bardzo jesteś miły. Dobry z ciebie chłopak.

– To samo powiedział kapelan.

– Tak, bardzo dobry. Będziesz mnie odwiedzał?

– Oczywiście.

– I nie musisz mówić, że mnie kochasz. Z tym na razie koniec. – Wstała i wyciągnęła rękę. – Dobranoc.

Chciałem ją pocałować.

– Nie – zaprotestowała. – Jestem strasznie zmęczona.

– Ale pocałuj – prosiłem.

– Jestem strasznie zmęczona, kochany.

– Pocałuj.

– Bardzo tego chcesz?

– Bardzo.

Pocałowaliśmy się, ale ona nagle się cofnęła.

– Nie. Proszę cię. Dobranoc.

Odprowadziłem ją do drzwi i patrzyłem, jak odchodzi w głąb korytarza. Lubiłem obserwować jej ruchy. Wkrótce zniknęła, a ja wróciłem do domu. Była upalna noc, w górach sporo się działo. Widziałem błyski nad San Gabriele.

Zatrzymałem się przed Villa Rossa. Było już po zamknięciu, ale wewnątrz wciąż trwała zabawa. Ktoś śpiewał. Poszedłem dalej. Kiedy się rozbierałem w sypialni, wszedł Rinaldi.

– Aha! – zawołał. – Chyba kiepsko poszło. Ptaszynka coś zmieszana.

- Gdzie byłeś?
- W Villa Rossa. Bardzo budujące doświadczenie, ptaszynko. Pośpiewaliśmy sobie. A ty?
- Wpadłem z wizytą do Anglii.
- Dziękuję Bogu, że się nie dałem zrobić w żadną Anglię.